

Czarny ład z czerwoną ziemią

– 3

6 maja 2021

Po dwóch dniach jeżdżenia po Republice Środkowej Afryki, nagle wszystko się zatrzymało. Kompletnie nic nie musieliśmy robić od 28 grudnia do czwartego stycznia. Typowe wczasy, chociaż w miejscu bardzo mało atrakcyjnym turystycznie. Bardzo ładnym, ale zbyt niebezpiecznym, żeby wybierać się na wycieczkę. Zwiedzanie stolicy i okolic, w planie również chluba Bagui i całej Republiki Środkowoafrykańskiej – czyli lokalna wersja Katedry Notre – Dame, akurat trafiliśmy na jakąś uroczystość. Dzieci tańczyły, śpiewały, dorośli klaskali w rytm, niesamowite wrażenie, tym bardziej, że nigdy nie uczestniczyłem w obrządkach religijnych żadnego z afrykańskich kościołów – chociaż mam koszulę Voo-Doo, którą dostałem od znajomych z Beninu. Tutaj nie była potrzebna i chyba religia ta jest praktykowana jedynie w dalekich wioskach i to potajemnie.



Przedstawiciele organizacji afrykańskich zaczęli wyjeżdżać, zostawiając po jednej dwie osoby z delegacji.

Hotel powoli zaczął się wyludniać

Pałętając się tak po Bangui oczywiście władowałem się w lokalne tarapaty. W stolicy obowiązuje zakaz fotografowania, co w zasadzie można zrozumieć, w końcu cały czas trwa bardzo krwawa i brutalna wojna domowa. Oczywiście w dobie smart fonów trudno to upilnować. Dlatego nie zważając więc na ostrzeżenia, robiłem zdjęcia na lewo i prawo wcale się z tym nie kryjąc.

Po którymś z kolei sfotografowanym budynku z napisem „Alimentation” – co oznacza jedzenie, artykuły spożywcze, chciałem wrzucić na FB z dopiskiem, że to miejsce dla tych, którzy nie płacą alimentów. Już układałem w głowie treść wpisu, gdy poczułem dosyć mocne szturchanie w plecy. Odwróciłem się i zobaczyłem czarnoskórego policjanta z dosyć groźną miną, który szturchał mnie łufą swojego karabinu. Po chwili zobaczyłem, że tych policjantów jest ich znacznie więcej. Wszyscy z groźnymi minami i uzbrojeni po zęby. Policji nie ufałem, w RSA jest to formacja bardzo zdemoralizowana. Pretekstem było to, że robiłem zdjęcia. Zażądali bym zapłacił mandat, czyli łapówkę, bo o żadnym kwitku mowy nie było. Ponieważ przy tym stopniu demoralizacji, wiadomo, że pieniądze te idą do kieszeni „stróżów prawa” zaczęliśmy więc rytuał targu.

Mandaty w Afryce są również umowne. Nie ma stałego cennika i należy się targować. Zażądali trzystu euro. Policja ty różni się od wojska, że podrzędni funkcjonariusze nie zmieniają się po przewrotach, po prostu ich służba zmienia kierunek i dowódców. Przywykli do tego, że wymieniano im kadrę, więc robili dokładnie to samo, tylko wobec innych grup. Respekt czuli jedynie przed przełożonymi i żołnierzami. W pierwszym momencie rozejrzałem się za jakimś patrolem wojskowym, który wyciągnąłby mnie z tych tarapatów, zwykle było ich pełno, ale tym razem nie zauważyłem żadnego. „Przecież nie zapłacę trzystu euro” – pomyślałem i zacząłem się targować. Pokazałem im akredytację i mandat obserwatora, nie zadziałało. Zaczęli

odgrywać teatr, który miał nas przestraszyć. Niedaleko był Grzesiek, gdy zobaczył zamieszanie podszedł żeby pomóc mi w tych tarapatach. Teatr polegał na tym, że jeden z policjantów udawał, że dzwoni na komisariat, gdzie nas zabiorą i wsadzą do aresztu. Przez kilkanaście minut „nie mógł się dodzwonić”. Kazali czekać, albo zapłacić, zeszli już do stu euro – Grzesiek, doskonale znający Afrykę, powiedział „nie” i żeby wezwali przełożonych. Ta jego pewność siebie lekko zbiła ich z tropu, w tym momencie wpadłem na pomysł i powiedziałem jednemu, że coś mu pokażę w telefonie, który mi skonfiskowali. Szybko znalazłem zdjęcie z głównym doradcą prezydenta Taudery. Gdy zobaczyli moją fotografię z ministrem Albertem Yaloke Mopkeme. Klimat rozmowy zdecydowanie się zmienił. Na naszą korzyść. Zaczęli chodzić, każdy w innym kierunku, lekkie oznaki paniki. No ale przecież nie mogą puścić jeńców, bez bakszyszu. Stanęło na dziesięciu tysiącach franków, czyli niecałych dwudziestu dolarach. Przeprosili i oddali telefon. Kolejne zdjęcia robiłem już z ukrycia.

Przeciskając się przez stolicę, gdzie każdy – najmniejszy skrawek przestrzeni zagospodarowany był na bazar, trzeba było więc przeciskać się chodząc po mieście, odwiedziliśmy kilka kawiarni, w których więcej było much niż klientów, ale obsługa życzliwa i nawet nikt nie usiłował naciągnąć na rachunku. Każdy uliczny sprzedawca zaczepiał zachęcając do obejrzenia i kupna niepotrzebnych nam towarów. Najgorzej wykazać zainteresowanie jakimś przedmiotem, bardzo trudno wtedy oderwać się od miejsca, a gdy się to uda, właściciel będzie szedł tak długo, póki widzi swoje stoisko. Co chwilę mijaliśmy nielegalne apteki, czyli ludzi niosących na głowie przezroczyste, plastikowe skrzynki z podrabianymi lekarstwami. To plaga całej Afryki. Leki w oryginalnych opakowaniach, – widziałem nawet Cholinex – ale zrobione gdzieś w niekoniecznie sterylnych warunkach i których skład jest zbliżony do oryginału ale w przypadkowych proporcjach. Zaletą jest to, że są one znacznie tańsze niż w standardowych aptekach, których w Bangui było pod dostatkiem, wadą – ryzyko nadmiernej, lub

śladowej dawki substancji aktywnych. Krąży opowieść o amputacji penisa mężczyźnie, który kupił Viagrę. Efekt był tak silny, że w wyniku odpływu krwi z mózgu groziła mu śmierć. Jedynym wyjściem była amputacja.

Kilka razy odwiedziliśmy też siedzibę Głównej Komisji Wyborczej oglądając tam prace przy liczeniu, gromadzeniu i przechowywaniu głosów.

Oprócz nas zostało w hotelu tylko kilku przedstawicieli organizacji afrykańskich. Zdążyliśmy się zaprzyjaźnić z właścicielem hotelowej restauracji – Tunezyjczyk, który postanowił zacząć życie od nowa, w kraju który dopiero powstaje. „Niezły pomysł” – też zacząłem się nad tym zastanawiać. Zacząć życie od nowa, w państwie którego jeszcze nie ma. Zaczynanie życia od nowa w Polsce już mnie znużyło, już miałem tego tak serdecznie dość, że szukałem jedynie pretekstu żeby tam zostać. Pretekstu i jakiegoś pomysłu na pracę. Klimat był idealny, niby upały, ale nie były dokuczliwe. Nie szukałem cienia. Suche afrykańskie powietrze, mimo że gorące, to nie było uciążliwe, według nowomowy panował „komfort termiczny”.

Pierwsze blade twarze

Czwartego stycznia nadeszło wreszcie zapowiadane wielkie rozstrzygnięcie. Na godzinę piętnastą zapowiedziano konferencję prasową, podczas której Główna Komisja Wyborcza miała podać wyniki głosowania. Poszliśmy piechotą, jakieś dwadzieścia minut spacerem od naszego hotelu. Pierwsze kontrole zaczynały się przed wejściem do całej dzielnicy. Wszystkie rodzaje stacjonujących wojsk pilnowały wyznaczonych punktów kontrolnych. Ulica przy której miała być konferencja i ogłoszenie wyników, była całkowicie zamknięta dla ruchu. Można było się tam dostać jedynie legitymując się mandatem obserwatora. Przed samym wejściem do tej najbardziej chronionej strefy zobaczyłem pierwszego człowieka spoza naszej

grupy o europejskiej karnacji, była to dziennikarka z Francji, powiedziała, że jest półgodzinne opóźnienie i nie chce jej się czekać, pogadaliśmy chwilę i zniknęła w samochodzie francuskiej ambasady. Mimo tej informacji weszliśmy do środka, żeby tak po afrykańsku, zając miejsce i nikogo nie pytając o opóźnienie cierpliwie czekać. Po godzinie czy dwóch, też zaczęliśmy chodzić po całym terenie ministerstwa informacji. Ekipa francuskiej telewizji rozstawiła już sprzęt, pięcioro „białych”, których przez kilka tygodni pobytu nigdzie nie spotkałem ustawiało reflektory, jedną kamerę, ktoś usiadł z laptopem. Wyszedłem poza mury instytucji, chwilę rozmawiałem z żołnierzem z Czadu, potem z Rwandy. Nawet schowaliśmy się na chwilę żeby zapalić. Ja mogłem oficjalnie, oni musieli się odmeldowywać. Grzesiek dowiedział się, gdzie zatrzymali się Francuzi. Ulokowano ich w najbardziej strzeżonym i niedostępnym hotelu w kraju. Nie wychodzili i nikt spoza ambasady nie mógł tam wejść.

W pewnym momencie organizatorzy postanowili zmienić ustawienie. Krzesła dla obserwatorów przenieśli w miejsce komisji, a stół prezydialny w miejsce gdzie siedzieli wcześniej obserwatorzy. Kobieta wyglądająca na ważną postać francuskiej dyplomacji – może pani ambasador, albo konsul lub minister pełnomocny – w towarzystwie ochrony (oczywiście własnej) wybiegła wściekła z budynku. Najwyraźniej wyniki nie przypadły jej do gustu. Spodziewaliśmy się, że w takim razie zaraz będzie ich ogłoszenie. Jeszcze musieliśmy poczekać kilkadziesiąt minut, by wreszcie majestatycznym krokiem wyszła grupa ludzi, od których „ważność” aż świeciła po oczach.

Zaczęła się konferencja

Według afrykańskich standardów nawet punktualnie, czyli o godzinie 19.00.

Faustin Taudera dostał blisko 54 proc. głosów. Po powrocie do Polski wniesiono kilka skarg wyborczych, w ich wyniku przewaga

dotychczasowego prezydenta okazała się trochę mniejsza, ale wciąż na tyle duża, że nie zmieniło to wyniku.

Piątego stycznia z hotelu wyjechali ostatni przedstawiciele organizacji afrykańskich. Wyjechał też Milenko. Zostaliśmy z Grzegorzem we dwóch. Nasz samolot odlatywał ósmego. We dwóch w hotelu i dwóch stałych klientów restauracji. Właściciel zaczynał się denerwować, zarabiał jedynie na nielicznych miejscowych, ci którzy przychodzili na basen kupowali jedynie napoje. Wyraźnie przybity opowiadał o trudnościach przetrwania restauratora, gdy wyjeżdżają wszyscy pensjonariusze hotelu. Żadnych śniadań, obiadów, kolacji. Obsługa z nudów uczyła nas Sango – język Republiki Środkowoafrykańskiej, równorzędny z francuskim. Było to zabawne.

W końcu nadszedł czas naszego powrotu. Żał wyjeżdżać. Przesiadki w Kamerunie – Duala, Etiopi Addis Abeba i w Londynie. W Duali spędziliśmy kilka godzin, w strefie tranzytowej nie było palarni, wystarczył jednak spacer po sklepach i po chwili właściciel jednego zaprosił nas na zaplecze, poczęstował kawą i postawił popielniczkę. W Etiopii mieliśmy kilkanaście godzin czekania. Tam były już palarnie i sklepy wolnocłowe. Kupiłem papierosy, okazało się, że były to najlepsze szlugi jakie w życiu paliłem. Popularna marka, ale tak inna od tych kupowanych w innych miejscach świata. Etiopia, czyli dawna Abisynia jest dosyć dziwnym państwem. Litery bardzo podobne do tych, które widziałem w Armenii, zdecydowanie inaczej wyglądają, bardziej na mieszkańców południowej Azji, no i ich państwowość. Kraj o bogatej kulturze, trochę zapomniany, wydaje się, że dla archeologów mogłaby być drugim Egiptem. To ciekawostka, sam byłem zaskoczony różnicą, nawet klimatu – jest tam znacznie chłodniej – państwo leży na wyżynie około dwa tysiące metrów nad poziomem morza. Dolecieliśmy do Londynu, na lotnisku okazało się, że lot do Polski odwołany, zaczęliśmy jeździć metrem po różnych stacjach, zatrzymaliśmy się przy Victorii licząc na autobus gdzieś w okolicy promu. Londyn był pusty,

nie było żadnej informacji.

Plącząc się tak bez celu i perspektyw po mieście, zmęczeni przesiadkami i kontrolami. Siadłem pilnując bagaży, a Grzegorz poszedł poszukać informacji. Znalazł człowieka, który twierdzić, że jest Grekiem, chociaż widać było że to Turek, powiedział mu, że zaprowadzi go w miejsce, gdzie wszystkiego się dowie. Gdy podeszło dwóch kolejnych, pomyślałem, że coś nie gra, zabrałem walizki i ruszyłem w ich stronę, w tym momencie zaczęli uciekać. Jak się okazało, powiedzieli, że są z policji i sprawdzają czy nie handlujemy kokainą, że muszą powąchać pieniądze, Grzesiek w dobrej wierze, ale i zmęczony podał im swoją kasę, kiedy to zobaczyłem krzyknąłem, że go kroją, że to złodzieje, zanim dotarło, byli już daleko, jeszcze po drodze jeden usiłował wepchnąć mi rękę do kieszeni. Z plecakiem, torbą i walizkami, nie miałem szans ich dogonić. Dzięki pomocy udało się nam znaleźć hotel. Dwie doby usiłowaliśmy wymyślić jak dostać się do Polski. Był jeden lot, przez Dublin.

W Modlinie wylądowaliśmy koło 23.00. pojechaliśmy na Dworzec Centralny. Zostałem czekając na poranny pociąg do Puław, a Grzegorz poszedł przenocować do swojej byłej żony. Wtedy widzieliśmy się ostatni raz. Miesiąc później Grzegorz Waliński zmarł. Przyczyną była prawdopodobnie małaria mózgowa.

Autorstwo: Piotr Jastrzębski

Źródło: Trybuna.info